

— BĄDŹMY — SOLIDARNI

Jeszcze nigdy po zakończeniu drugiej wojny światowej kraj nasz nie znajdował się w tak trudnej sytuacji gospodarczo-ekonomicznej jak obecnie. Nigdy jednak też nie stała przed nami szansa, jaką teraz mamy. Tylko od nas zależą przyszłe losy Ojczyzny i nasze własne. Mało kto zdaje sobie sprawę z tego, że otwierając się przed nami podwoje Europy. Niech trudności życia codziennego nie sprawiają, że to, co jest teraz całkiem realne, stanie się znowu snem.

Musimy zrozumieć, że nie da się wyjść z kryzysu bez licznych wyrzeczeń. Nie żądamy od nowych władz, aby uzdrowiły gospodarkę w ciągu kilku tygodni. Pamiętajmy o tym, że cywilizacje zachodnie budowały się dziesiątki lat, a ich początki były również niełatwe. Nikomu nie może się udać uzdrowienie takiej sytuacji bez szerokiego poparcia ze strony społeczeństwa.

Jeżeli nie poprzemy czynnie programu reform nowego rządu, zabijemy szansę na powrót do normalności. Należy uświadomić sobie, że każdy strajk, każda akcja protestacyjna torpeduje ten program. Strajkami i falami protestów nie zbudujemy nowej Polski. Jeśli zmarnujemy tę szansę, to jakie dziedzictwo przekazemy naszym dzieciom, jak wytłumaczymy się przed nimi?

Apelujemy

do wszystkich ludzi dobrej woli. Poprzyjmy czynnie program reform rządu premiera Mazowieckiego odznaczając się od wszystkiego, co mogłoby temu procesowi

w zaszkodzić. Pomni naszych ojców, którzy w najtrudniejszych dla Ojczyzny chwilach umieli wyrzec się wielu rzeczy i nierzadko nie wahali się zapłacić cenę najwyższą, zjednoczmy wszystkie wysiłki, by wydzwignąć z ruin nasz wspólny dom. Pokażmy jeszcze raz światu, na jaki wysiłek nas stać, jeżeli w grę wchodzi losy Polski. Przetrawmy te trudne chwile, byśmy już w niedalekiej przyszłości mogli rozpocząć godne życie.

REGIONALNA KOMISJA
PRACOWNIKÓW OŚWIATY I WYCHOWANIA
NSZ "SOLIDARNOŚĆ"
W PRZEMYSŁU

Przemyśl 20.10.1989r.

cznego Przekazu, Nauki i Edukacji oraz podkomisji do spraw ochrony środowiska. W tej samej senackiej komisji działa Jan Musiał oraz w dwóch podkomisjach: zajmującej się nauką, oświatą i szkolnictwem wyższym i w podkomisji do spraw środków przekazu, głównie radia i telewizji. Poseł Janusz Onyszkiewicz uczestniczy w pracach Komisji: Spraw Zagranicznych i Współpracy Gospodarczej z Zagranicą oraz Gospodarki Morskiej. Poseł Tadeusz Trełka pracuje w Komisji Gospodarki Rolnej i Żywnościowej oraz w komisji zajmującej się sprawami samorządu terytorialnego.

Biuro przejęło przyjmowanie i załatwianie spraw (interwencji), którymi do tej pory zajmowali się członkowie Komitetu

BIURO POSELSKO-SENATORSKIE W PRZEMYSŁU

1 października br. przy Komitecie Obywatelskim "Solidarność" w Przemyślu (Plac Legionów 1, tel. 39-00) rozpoczęło pracę biuro poselsko-senatorskie; zatrudniony w nim Waldemar Wigłusz objął funkcję dyrektora, a Alicja Bartmińska prowadzi sekretariat biura.

"Biuro obsługuje dwóch naszych posłów (Janusza Onyszkiewicza i Tadeusza Trełkę) i dwóch senatorów (Jana Musiałę i Tadeusza Ulmę) - informuje Waldemar Wigłusz - nasi przedstawiciele w parlamencie pracują w następujących komisjach i podkomisjach: Tadeusz Ulma w senackiej Komisji Kultury, Środków Społecz-

stwa Obywatelskiego podczas pełnionych tutaj dyżurów.

Nie spotkaliśmy się, jak dotąd, ze sprawami, które posłowie mogliby przedstawiać bezpośrednio w interpelacjach sejmowych. Jest wiele materiałów wpływających z komisji problemowych Komitetu Obywatelskiego, spraw poważnych, ale trzeba je dopiero przygotować posłom do interpelacji. W załatwianiu spraw i problemów mieszczących się w możliwościach biura będziemy korzystać również z osobistej pomocy naszych posłów i senatorów".

Pan Waldemar Wigłusz podał również

-oficerów - zamordowanych po barbarzyńsku skryły katyńskie piaski i nie odkryte do dziś jeszcze groby. Nie tylko żołnierzy spotykał taki los. Rychło stał się on udziałem także ludności cywilnej. Aresztowania, pogromy, wywózki wreszcie - a na dalekiej Północy i Wschodzie wyniszczenie już setek tysięcy, zarówno mężczyzn, jak kobiet i dzieci.

W imię czego? W imię kłamstwa, iż Armia Czerwona przyszła wyzwalać braci Ukraińców i Białorusinów i braci ich pod sowiecką opiekę, podpartego kłamstwem drugim, iż państwo polskie zbankrutowało, upadło. Trudno o większy cynizm niż to sowieckie uzasadnienie napaści. Trudno o większy cynizm.

We wrześniu 1939 Wojsko Polskie stanęło do walki w obronie całości Rzeczypospolitej - państwa także Ukraińców i Białorusinów. I oni w tym wojsku służyli. Pancerne jednostki Wehrmachtu utknęły u bagien poleskich, tracąc pierwowotny impet. Kończyła się słoneczna pora, ułatwiająca loty Luftwaffe. Wydłużały się drogi dostaw niemieckich i wyczerpywały zapasy amunicji. Losy wojny nie były bynajmniej przesądzone. Napaść sowiecka, dopełniająca rozbiorowy pakt Hitlera ze Stalinem, była zatem zaiste nożem wbitym w plecy państwa polskiego. Tysiące "wyzwolonych" Ukraińców i Białorusinów podzielić miało wkrótce losy Polaków.

Zatrzymajmy się chwilę przy statystyce tych losów. Ponad milion osób deportowanych zostało z okupowanych przez Związek Sowiecki ziem polskich od września 1939 do czerwca 1941 roku. Łącznie z dwustu tysiącami jeńców wojennych oraz stu pięćdziesięcioma tysiącami zmobilizowanych do Armii Czerwonej wiosną 1940

PIĘCDZIESIĄT LAT

roku i stu tysiącami wprowadzonych mężczyźni do rozpoczęcia wojny niemiecko-sowieckiej czyniło to blisko półtora miliona wyrwanych z ojcowizn i ubezwłasnowolnionych kompletnie ludzi.

Z tej liczby oprócz 15 tys. pomordowanych oficerów z obozów w Kozielsku, Ostaszkowie i Starobielsku, ponad 200 tys. Polaków zostało zamęczonych lub zmarło z wycieńczenia w więzieniach i obozach pracy - tylko w ciągu trzech lat od wybuchu wojny. Potem do tych ofiar doszło jeszcze kilkanaście tysięcy żołnierzy Armii Krajowej, po których ślad zupełnie zaginął. Bowiem Polacy, aresztowani w latach 1944-45, skazywani na 10-letnie najczęściej wyroki, zaklasyfikowani zostali w większości - na mocy rozporządzenia Berii z 1948 roku - do kategorii więźniów politycznych. Tych zaś zsyłano do kilkunastu najcięższych okręgów karnych, tzw. specjalnych: Kołymagu, Stepłagu, Ozierłagu, Workutałagu czy Norylskłagu, przeznaczonych na wyniszczenie więźniów. Jakby nie dość tych cierpień i strat, jeszcze tragicznie starły się interesy narodowości z ziem Rzeczypospolitej pod oboma tutaj okupacjami - niewątpliwie za przyczyną polityki okupantów. Tragiczne skutki przyniosło owe rozdarcie. Czy dopiero wspólnie mogły zbiorowe, jak odkryta niedawno w solankach dobromilskich mogiła ofiar NKWD, uświadomić nam to?

Jedna zdrada, jedno kłamstwo i jedna zbrodnia leży u podstaw polityki okupantów. W Przemyślu symbolem niejako tej polityki, świadectwem jeszcze istnieją-

cym mogą być piwnice kaźni Gestapo a potem NKWD przy ul. Krasińskiego. Nadal jest to świadectwo przemilczane, niewygodne dla komunistów. Wszak w spadku po NKWD przejęło ową siedzibę UB. Wszak i z rąk oprawców tego "urzędu" ginęli masowo żołnierze Armii Krajowej - już po wojnie. Dziedzictwo 17 września okazało się być trwalsze niż akty jej zakończenia.

Dlatego dopiero w pół wieku od jej rozpetania możemy postawić krzyż, który ofiarom poniesionym za Polskę po obu stronach rozbiorowej granicy na Sanie, ofiarom szczególnie terroru stalinowskiego odda część i sprawiedliwość. Przez krzyż umocowana jest ta sprawiedliwość w Chrystusie. Mamy tę chrześcijańską nadzieję, że Bóg wynagrodzi poległym, pomordowanym, umęczonym. Miejmy też wolę nadziei, że odpuści oprawcom i katom, jako i my..."

Po poświęceniu krzyża i złożeniu pod nim kwiatów na zakończenie przemówił biskup Edward Frankowski, który powiedział między innymi:

"Po tych strasznych zbrodniach wybiła godzina, byśmy popatrzyli na siebie jak chrześcijanie i żebyśmy zdobyli się na ten heroiczny akt służenia każdemu, nawet tym, których sumienia obciążone są zbrodnią; aby ich podnieść z upodlenia i aby doprowadzić ich do Chrystusa, zostawiając Chrystusowi, Sędziemu najdoskońszemu, sąd i odpowiedzialność w nieskończoność wieczną. Nam zaś przebaczać... i budować wolność. Po to oni umarli, abyśmy żyli jako wolni (...), abyśmy budowali wolność.

JAN JAROSZ

tenże mają ludzie do Sejmu, ale 70% Senatu to są panienki, które chciałyby i się boją. Pan Musiał powiedział, "że pracownicy mogą się samorządzić" itd. Przecież do dziś nie ma jasných przepisów o samorządach! A zanim my zaczniemy zakładać spółki, to musimy mieć jakiś kapitał. Wówczas to będą prawdopodobnie spółki z grabarzem i korzystne dla grabarza. Spółki nomenklaturowe są parodią! To można jednym pociągnięciem długopisu załatwić! Powiedział pan senator Musiał, że kapitalizm rządzi się twardymi i jasnymi regułami gry. Ale póki co u nas nie ma kapitalizmu i daleko nam do niego. Tu jest najzwyczajniejsze rozkradanie Polski na Waszych i naszych oczach... Prośba do pana posła Onyszkiewicza. Pan się często widzi z tym naszym bóstwem związkowym panem Wałęsą. Proszę mu zwrócić uwagę na ten jego złoty sygnet na palcu. To jest takie prostackie, śmieszne... I te zagrywki z 50 tysiącami za kaczkę... Nas na to nie stać. Wielu ludziom czasami pieniędzy na chleb brakuje. Jeśli go stać, niech mówi to prywatnie, a nie w telewizji".

Marek Kamiński, przewodniczący RKW: "Głos kolegi to głos ludzi. Dla nich Wy, posłowie i senatorowie, jesteście mało wnymi - po wyborach nie pokazujecie się na zakładach pracy. To mówią Wasi wyborcy. Wojewoda Wam kadzi, ale nam, działaczom związkowym, jest coraz trudniej tłumaczyć ludziom dlaczego jest źle. Nasza argumentacja się kończy; jesteście tylko robotnikami, a nie mamy poparcia w inteligencji. Wy jesteście naszymi autorytetami i musicie nam pomóc".

Odpowiada Janusz Onyszkiewicz: "Zgadza się, że informacji o tym jak funkcjonuje rząd jest za mało, że jest niepełna i teraz, kiedy telewizja jest łatwiejsza do "ugryzienia" można to zrobić. W przypadku Sejmu są całe sprawozdania, tylko jeżeli ktoś chce mieć pełny obraz tego, co się tam dzieje, musi siedzieć tych osiem godzin w czasie debaty sejmowej, a tam jest mnóstwo gadulstwa, wodolejstwa itd. Ale tak funkcjonuje każdy parlament, a nasz się dopiero uczy. W przypadku wolnych cen, to nie myśmy wprowadzili wolny rynek - to było dziedzictwo Rakowskiego. A potem, kiedy już je przejęliśmy, to odręcać tego wszystkiego nie można było, bo powstałby taki bałagan, że byśmy z tego absolutnie nie wyszli. Wybór prezydenta? Można mieć oczywiście pretensje do tych ludzi, którzy swoim zachowaniem umożliwili wybór Jaruzelskiego. Ale z drugiej strony wcale nie jestem pewien, czy w innym przypadku moglibyśmy choćby marzyć o tym, żeby mieć naszego premiera. Co do samorządów, to jest dosyć jasne prawo. One istotnie nie mają zbyt dużych uprawnień, które haniebnie zostały przycięte w czasie stanu wojennego. Ale mogą się nie zgodzić na zakładanie spółek. Tyle tylko, że ten samorząd musi być czynny. Znam szereg przykładów, w których manipulowany samorząd zgłasował tak, jak chciała dyrekcja, jest maszyną do potwierdzania decyzji dyrekcji. Niestety, samorządów dobrych jest około 10% i trzeba powiedzieć, że jest to nasza wina - tych, co kierowali "Solidarnością". Przez długi czas nie mówiliśmy zdecydo-

ZNIECIERPLIWIE I BEZRADNOŚĆ

wanie ludziom: wchodźcie w samorządy. I teraz z takim efektem (90% złych samorządów) musimy żyć. Natomiast w przypadku spółek prawo jest zupełnie jasne - można robić, co się chce, można robić wszystko".

Posel Tadeusz Irelka: "Wszyscy jesteśmy z jednej i drugiej strony - w zakładzie i sklepie. Dlaczego tam milczymy, a tu krzyczymy? Dlaczego związek broni - np. w zakładzie zbożowym - zarządu czy dyrektora, który podnosi cenę za zboże? Przecież to związkowcy wychodzą z zakładu i kupują mąkę - oczywiście droższą! Która załoga sprzeciwiła się podwyżce cen produktów w swoim zakładzie? Jaki jest sens, by chłop sprzedawał i trzymał tę stówkę, jeśli za trzy dni będzie warta trzydzieści złotych? Dajcie inne wyjście chłopu! Jeśli robotnik dostanie pobory, to kupuje co się da z dostępnego towaru. A rolnik ma jeszcze swoje gospodarstwo na utrzymaniu, musi zainwestować w środki ochrony, zabezpieczyć się w nawozy... Teraz, kiedy potrzebna jest solidarność, wzajemne uświadamianie sobie tego całego bałaganu, to robimy wobec siebie zarzuty i robimy to działacze!"

Senator Jan Musiał: "Ilu z Was, proszę państwa, myślało o tym, co będzie dzisiaj przed trzema laty, kiedy w duszpasterstwie przemyskim, jeszcze za księdza Pępka, była propozycja założenia studium społecznego, gdzie prawnik, ekonomista, socjolog miał dać grupie działaczy "Solidarności" fundamenty z tych trzech dziedzin: prawne, ekonomiczne i socjologiczne? Dzisiaj przydałby się jak znalazł! Na pierwsze spotkanie przyszło osiem osób, na drugie trzy! To nie sztuka dzisiaj wytaczać takie armaty! Trzeba sobie przypomnieć, czy podejmowało się wówczas jakieś działania? Jeśli nie, to trzeba dzisiaj płakać i nadrabiać to. Lata od 13 grudnia przemodliło się, ale niewiele zrobiło. Jeśli się chce coś solidnego zbudować, to musi to potrać. I ten rząd nic nie robi i ten Sejm, i Senat nic nie robią, jeżeli nie będą miały tej fundamentalnej pomocy stąd!"

Głos z sali: "Ludzie na to studium przychodzili, ale jeżeli prelegenci nie przyjeżdżali, to co? Właśnie - czy musieli przyjeżdżać aż z Warszawy?"

Tak rozpoczął się już drugi w październiku br. cykl spotkań senatorów Jana Musiała i Tadeusza Ulmy oraz posłów Janusza Onyszkiewicza i Tadeusza Irelki (pierwszy odbył się 15.10. trasą Lubaczów-Cieszanów-Oleszyce) w sobotę (28. w Przeworsku, Kańczudze, Sieniawie i Jarosławiu. Spotkania organizowane były przez miejscowe komitety obywatelskie. Przeworski, kierowany przez młodego prawnika Kazimierza Borcza, za siedzibę swą obrał pomieszczenia Urzędu Miasta i Gminy, w którego sali widowiskowej do posłów i senatorów padały słowa równie mocne jak dnia poprzedniego. W Kańczudze spotkanie odbyło się w kinie. W tamtejszym, założonym 17 września dwudziestoosobowym Komitecie obywatelskim jest

tylko czterech rolników (na czternaście wiosek w gminie); władze lokalne lekceważą go nie zapraszając na posiedzenia rady gminnej, na których decyduje się np. o przekazaniu zabytkowego pałacyku w Żuklinie na fabrykę lub rozparcelowaniu (za zgodą konserwatora wojewódzkiego!) pięknego dworu Pogonowskich w Łopuszce Małej na dwie części, jedną oddając za pół darmo naczelnikowi gminy, drugą (zabudowania gospodarcze) odstępując na hutę szkła. Sieniawscy obywatele kłopotczą się z Iglopolem i prezesami Gminnej Spółdzielni, dotąd bezkarnie szarogęszczącymi się. Natomiast u oo. Reformatów jarosławskich na ręce parlamentarzystów składano pretensje pod adresem rządu premiera Mazowieckiego za brak tolerancji wobec poczyniń KPN-u. (Uwagi te padały wresztą na każdym z tych spotkań). W odpowiedzi na pytania i postulaty dotyczące spraw lokalnych mieszkańcy otrzymywali jedną odpowiedź: sami musicie się tym zająć, a pomoże Wam w tym silny, zorganizowany samorząd.

Wszędzie dwugodzinne spotkania przy wypełnionych salach, wszędzie uczucie niezadowolenia, zniecierpliwienia, szczególnie bezradności... Wszędzie widoczna znikoma rola inteligencji na prowincji, jej brak zaangażowania się choćby w działalność komitetów obywatelskich, skupiających ostatnich wytrwałych (do wyjątków należy Przeworsk), tych z pooranyimi przez zmarszczki i czas twarzami. Wszędzie na spotkaniach brak ludzi młodych. Młodzi, owszem - mówią: chcemy działać ale inaczej - konkretniej i szybciej, nie oczekując instrukcji, nie stroniąc od ryzyka odważnych, wyprzedzających bieg wydarzeń politycznych działań. Nie chcą angażować się w komitety obywatelskie - "opanowane" - jak mówią - "przez marynary"...

Spśród ponad pięciuset pytań zadanych podczas wszystkich spotkań, jedno tylko dotyczyło kwestii "jak zakładać samorządy", choć panowie parlamentarzyści przy każdej okazji do samorządów właśnie nawiązywali.

Więc kto jej będzie zakładał?

MAREK KUCHCIŃSKI

P.S. Odnotaliśmy nastroje społeczne z jednego tylko objazdu naszych parlamentarzystów, nastroje, które (choć późno) ujawniły się wyraźnie nawet wśród ludzi zdecydowanie popierających ruch obywatelski, rząd i siły polityczne z nim związane.

Zainteresowanych tą problematyką, jak również szukających przyczyn: -ewentualnych rozdziewków pomiędzy "namami" i rządzącymi oraz postawami "młodych" i "starych" wobec polskich układów politycznych, -marginalnego udziału w ruchu obywatelskim inteligencji na prowincji (lub jej uczestnictwa po niewłaściwej stronie), -istoty funkcjonowania spółek nomenklaturowych (racje moralne, historyczne, ekonomiczne i polityczne) polecamy lekturę: Jadwiga Staniszkis, "Res Publica", 1989, nr 4, s.2-13.

"NIE WYOBRAŻAM SOBIE ŻYCIA POZA POLSKĄ"

tacji "Christifidelis laici" Jana Pawła II ocenia Pan rolę świeckich w Kościele, zwłaszcza na przemyskim gruncie?

-Myślę, że nie ma potrzeby stosować jakichkolwiek rozgraniczeń. W sprawach religii uniwersalizm duchowy wynikający z Boga to istota. Jeżeli zaś chodzi o świeckich w Kościele - dla mnie sprawa jest jasna. Kościół jako wspólnota ludzi wierzących bez aktywności wyznawców stałby się instytucją martwą. Dlatego tak ważny jest ruch wspólnotowy w różnych przejawach: wspólnoty młodzieżowe, rodzinne, zawodowe, charytatywne - one same budując się i tworząc, wzmacniają równocześnie wielką wspólnotę Kościoła. Odnowa moralna umożliwiłaby nam powrót

do źródeł ^{nasze} ^{wiary}, a jej siła inspirująca musi wynikać z istoty sakramentów. Oprócz wymiaru czysto religijnego, wzmożony udział katolików w życiu ma również aspekt społeczny. Niech ci ludzie zgromadzeni wokół Kościoła tworzą kręgi ludzi dobrej woli, ludzi zdolnych do podjęcia wysiłku, którego jedyną sensowną motywacją jest motywacja oparta na Bogu. Odebranie tej motywacji jest źródłem wszelkiego zła. Polska ma w tym ogromną szansę - skoro jesteśmy katolikami, to w tym właśnie jest szansa.

-Na ile takie terminy jak: powołanie, misja, życiowa pasja, wierność, z których uczyniono slogany, mają możliwość w obecnych czasach na nowo wypełnić się

treścią?"

-Nie potrafimy często sami w sobie rozpoznać tych wartości. Każdy z nas posiada jakiś dar, jednak całkowicie przytłoczeni codziennością nie potrafimy odczytać go w sobie. Nie potrafimy dostrzec, ile dobra znajduje się wokół nas i częstokroć to właśnie staje się przyczyną niewiary w siebie, innych, niewiary w Boga. To zrodziło nihilizm niszczący nasze społeczeństwo, zresztą nie tylko nasze - jest to choroba całego świata. Przez wiele lat starano się sprowadzić nasze potrzeby do sfery dóbr materialnych, ale czas obecny dowodzi, że nawet ludzie nastawieni do życia całkowicie materialnie oczekują czegoś więcej i w tej odrobinie tęsknoty za czymś więcej tkwi nadzieja lepszej przyszłości.

-Dziękuję bardzo za rozmowę.

ARTUR WILGUCKI

JANUSZ MŁYNARSKI

SOWIECI W SŁOMIANCE

W pierwszej połowie kwietnia 1981 roku po Przemyślu, Jarosławiu, Radymnie oraz okolicznych wioskach poszła fama, jakoby gdzieś w okolicach Pruchnika stacjonowały sowieckie wojska. Przyznaję, że z dużą dozą sceptycyzmu podchodziłem wówczas do tych rewelacji. Ale jeszcze w kwietniu pojechałem do Jarosławia, by zdobyć materiał do Biuletynu Informacyjnego Centrum Informacji Akademickiej NZS. Moje wątpliwości okazały się niesłuszne. Od pracowników jarosławskiego MKZ-u uzyskałem dokładne informacje dotyczące miejsca przebywania Sowietów. Dzień później mogłem potwierdzić je osobiście.

Do wsi Słomianka odległej o kilka kilometrów od Jarosławia, usytuowanej przy szosie prowadzącej do Pruchnika, dotarłem "okazją". Kierowca - starszy, sympatyczny mężczyzna wiozący do Roźwienicy geosowskim "Starem" chleb i coś tam jeszcze - potwierdził zasłyszane przeze mnie opowieści. Aby dostać się do wioski musiałem jeszcze przebyć od szosy kamienną drogą kilkaset metrów. W kilka minut później ujrzałem pierwsze zabudowania. W obejściu gospodarz w kufajce przyczepiał konia do wozu zaopatrzonego w zbiornik z gnojówką. Przedstawiłem mu cel swojej wizyty. Gdy pokazałem mu "papierki uwierzytelniające" moją osobę, bez słowa zaprosił mnie do domu. W skromnie urządzonej kuchni żona gospodarza podała nam obiad.

-Ruskie są. Na mojej łące rozbili namioty. Mają tam auta i postawili wysoką wieżę dla radiostacji. Zapytałem go wówczas, czy mógłby mi wskazać drogę prowadzącą do tej łąki. Odpowiedział:

-Czekaj pan, odpoczniemy chwilę i pojedziemy tam wozem wylewać gnojówkę, tylko musisz się pan przebrać...

Przez kilkanaście minut opowiadał mi o swojej AK-owskiej przeszłości, obiecując mi nawet spotkanie ze swoim dawnym dowódcą. Dotrzymał zresztą słowa kilka godzin później, a spotkanie to uratowało mnie i kolegę z "C.I.A." od niechybnej

utruty wolności. Byłem w watowanych spodniach, takież bluzie i czapce uszance. Bez pośpiechu jechaliśmy w stronę łąki, na której zagnieździł się Sowiet. Gospodarz trzymał w kąciku ust "klubowego" i od czasu do czasu cmokając na konia to przeklinał komunistów w imieniu swoim i narodu, to komentował sytuację w kraju. Po chwili wskazał ręką na północ, prosząc mnie jednocześnie, bym zbyt nachalnie się nie przyglądał. Łąka, na którą zajechaliśmy z fasonem była jednocześnie zboczem pagórka; na jego szczycie widniał maszt i kilka samochodów ciężarowych. Maszt radiostacji tkwił pośrodku obozowiska, przymocowany grubymi stalowymi linami do podłoża. Jego wysokość dochodziła do 50 metrów. Wokół masztu ustawione były namioty, popularne "hangary", nieco dalej pomalowane na kolor ochronny samochody bez znaków rejestracyjnych, za to z tabliczkami "Nauka jazdy"(!) Pomiędzy namiotami krzątali się osobnicy podobierani w dresy lub mundury. Gospodarz otworzył zawór zbiornika i przez pół godziny wylewaliśmy gnojówkę w miejscach, w których trawa wydarła była przez opony samochodów. Był to dodatkowy powód niechęci, jaką żywił do Sowietów właściciel łąki. Wylaliśmy. Gospodarz stwierdził, że właściwie nie ma przeszkód, by nawiązać rozmowę z "Ruskiemi". Jednak na wszelki wypadek dał mi do zrozumienia, abym pod żadnym pozorem nie brał udziału w rozmowie, ponieważ mogę zostać zdemaskowany. Podjechaliśmy bliżej. Trzydziestokilkuletni mężczyzna, który do nas podszedł, był ubrany w dres; za nim truchtał umundurowany skośnooki osobnik z pistoletem maszynowym skierowanym w naszą stronę. Pierwszy z nich, atletycznie zbudowany, dobrze mówiący po polsku, okazał się starszym lejtnantem, natomiast stojące za nim skośnookie indywiduum szeregowcem. Lejtnant poprosił o papierosa. Przypalili. Gospodarz zaczepnie zapytał o cel pobytu żołnierzy sowieckich w Polsce, a tym samym i w Słomiance. Oficer był jednak pewny swego ostro krytykując "Solidar-

ność", która jego zdaniem doprowadziła do Kryzysu w Polsce. Szeregowiec co prawda głosu nie zabierał, ale milcząco dowódcy potakiwał. Zdenerwowany T. wsiadł na wóz i odjechał wraz ze mną w stronę wsi. Prawdziwa przygoda miała się dopiero zacząć.

Po emocjonującym zwiadzie udałem się z gospodarzem do pobliskiej Roźwienicy, w której mieszkał jego dawny dowódca z partyzantki. Sędziwy jegomość zaprosił nas do środka. Po krótkiej i cichej ich rozmowie, której treści mogłem się jedynie domyślać, zostaliśmy zaproszeni do obszernego pokoju. Przy długim stole siedziało kilku zawzięcie dyskutujących mężczyzn w różnym wieku. Ponieważ śpieszyłem się starszy pan zaproponował mi spotkanie w innym terminie.

-Mam panu wiele do opowiedzenia - rzekł na odchodnym.

Nazajutrz zjawiłem się w Rzeszowie i po wzięciu sprzętu fotograficznego będącego własnością Marka Bialica udaliśmy się jego "Polonezem" do Jarosławia. W MKZ-cie nie było żywej duszy, dlatego też odwiedziliśmy doktora Zemana - znanego nie tylko w przemyskim stomatologu, członka Zarządu MKZ Jarosław. Przez z górą dwie godziny wraz z żoną odradzał nam podjęcie eskapady, którą z Markiem zaplanowaliśmy.

Znów doskonały obiad u "mojego", gospodarza; wspinała pogoda wprawiła nas w dobry humor. Wyposażeni w "Leicę" i "Nikkora" z zestawem różnego kalibru obiektywów ruszyliśmy w drogę. Trochę się obawiałem i, jak się później okazało, moje obawy były w pełni uzasadnione. Do obozu krasnoarmiejców dotarliśmy od strony lasu. Zamiarem naszym było maksymalne zbliżenie się do nich, wykonanie jak największej ilości zdjęć i wycofanie się. Naszymi przewodnikami byli tym razem dwaj młodzi chłopcy - synowie gospodarza. Idąc nieśpiesznie pokrytą koleinami leśną drogą dotarliśmy do szlabanu opatrzonego zakazem wjazdu. Kilka metrów dalej stał wartownik z zatknętym na "Kałasznikowie" bagnetem. Wykonaliśmy mu

zadania biura poselsko-senatorskiego:

1. Współpraca i wspomaganie ruchu komitetów obywatelskich wszystkich szczebli, rozszerzenie zasięgu ich działania i inspirowanie powstawania nowych komitetów. Biuro powinno stanowić zaplecze organizacyjno-techniczne dla lokalnych ruchów i działań samorządowych.
2. Obsługa parlamentarzystów: ustalanie dyżurów, pomoc w realizacji prac posłów i senatorów w terenie, organizowanie spotkań z wyborcami, wizytacje zakładów pracy, pomoc w korespondencji, doradztwo prawne.
3. Interwencje w konkretnych sprawach obywateli. Podstawowe doradztwo prawne i kierowanie spraw do odpowiednich urzędów. Współpraca z Biurem Interwencji Kancelarii Senatu.
4. Reprezentowanie w terenie Sejmu i Senatu. Przeprowadzanie konsultacji w sprawach omawianych w parlamencie, a w szczególności projektów, ustaw i uchwał. Rozpowszechnianie sejmowych i senackich projektów aktów prawnych i informowanie o pracach parlamentu.
5. Prezentowanie programu OKP i współpraca z prasą lokalną.

(MK)

PRYWATNIE U PRYWATNYCH

SOJAZ Z POBYTU REPREZENTANTÓW
IZBY GMIN W PRZEMYSKIM

W dniach 2 i 3 października br. gościli w naszym regionie przedstawiciele brytyjskiej Izby Gmin - panowie HENRY BELLINGHAM i DAVID TREDINNICK członkowie Komisji Finansów brytyjskiego parlamentu, a jednocześnie członkowie Parlamentu Europejskiego. Wizyta miała charakter roboczy. Zapoznali się oni z warunkami działania naszego rolnictwa i prywatnych przedsiębiorstw. Szczególną uwagę zwracali na możliwości ewentualnej pomocy i współpracy.

W pierwszym dniu wizyty Brytyjczycy odwiedzili m.in. prywatny zakład odzieżowy w Przemyślu oraz gospodarstwo Tadeusza Szymańskiego (przew. NSZZ RI "S" gmina Fredropol) w Sierakościach i zapoznali się z pracą w tamtejszej prywatnej stolarni. Na spotkaniu z rolnikami interesowali się ich problemami oraz możliwościami przyjazdu z pomocą polskiemu rolnictwu.

W ostatnim dniu wizyty parlamentarzysty brytyjscy zwiedzili Zespólony Szpi-

tal Wojewódzki w Przemyślu. Dyrektor szpitala pokazał gościom te pomieszczenia, które posiadają najlepsze wyposażenie, tak że Brytyjczycy wyjechali z przekonaniem, że naszej służbie zdrowia brakuje jedynie strzykawek.

Goście z brytyjskiego parlamentu wzięli udział w spotkaniu z niezależnym środowiskiem skupionym wokół przemyskiego "Strychu Kulturalnego". Podczas spotkania posłowie z Izby Gmin zaferowali swoje pośrednictwo w nawiązaniu współpracy między przemyskimi zakładami a brytyjskim przemysłem, a także pomoc w znalezieniu angielskiego miasta, które chciałoby podjąć współpracę z Przemyślem na zasadzie miast stowarzyszonych. Posłowie przedstawili zasady funkcjonowania brytyjskiego samorządu terytorialnego, o czym piszemy niżej. Omawiano także kwestie związane z ochroną środowiska.

Miejmy nadzieję, że wizyta ta zaowocuje współpracą naszego regionu z podobnym regionem Wielkiej Brytanii.

W Wielkiej Brytanii występują trzy poziomy rad, które są organami administracji lokalnej: rady hrabstw, dystryktów miejskich lub wiejskich, miast oraz parafii. Każda z tych rad ma inny zakres kompetencji: od podejmowania decyzji o szkolnictwie, transporcie poprzez decyzje dotyczące planowania przestrzennego i komunalnego budownictwa do decyzji określających, gdzie psy mogą chodzić na spacer lub jakiego koloru mają być bramy budynków.

Rady miejskie wyłaniają z siebie jak gdyby rząd, w skład którego wchodzi przedstawiciele tej partii, która wygrała wybory do samorządu. Władzę wykonawczą na co dzień sprawują pracownicy zatrudnieni przez rady; muszą się oni charakteryzować wysokimi kwalifikacjami i dużym doświadczeniem. Przed przyjęciem na stanowisko przechodzą wiele trudnych egzaminów. Ich zadaniem nie jest podejmowanie kluczowych decyzji, ale przedstawianie politykom możliwych wariantów działania i ich konsekwencji. Do nich też należy jak najlepsza realizacja podjętych decyzji. Ludzie ci służą samorządowi bez względu na to, jaki jest aktualny skład polityczny rady miejskiej.

Jak finansowane są lokalne samorządy w Anglii? Połowę pieniędzy dostają od rządu, jedną czwartą otrzymują od lokalnych przedsiębiorstw. Pozostałe dwadzieścia pięć procent pochodzi od osób indywidualnych, które od przyszłego roku będą płacić od głowy - wszyscy, którzy ukończyli osiemnaście lat. Wysokość tych indywidualnych opłat będzie ustalona przez lokalny samorząd w zależności od planu wydatków na szkoły, drogi, policję.

Jeżeli na szczeblu lokalnym podejmowane są błędne decyzje (skandal), to istnieją dwa zabezpieczenia: pierwsze - istnieje całkowicie demokratycznie wybrany parlament i każdy może poprzez swego posła złożyć interpelację w Izbie Gmin, drugie - istnieje wolna prasa, w której może być ujawnione każde nadużycie.



Spotkanie na przemyskim rynku z posłami i senatorami z OKP Fot. Jacek Szwić

28 października, godz. 13.30, biuro RKW NSZZ "Solidarność" w Przemyślu, spotkanie z posłami i senatorami.

Głos z sali: "Po wyborze rządu premiera Mazowieckiego uważaliśmy, że to nasz rząd; dzisiaj 40-50 procent mówi: "oni rządzą". Dlaczego? Informacja o pracach rządu jest niepełna, otoczona

dzisiaj konspiracyjną, na strychach pszenicę, buraki kopczują czekając na lepszą cenę. Twór komunistyczny, chłoporobotnik przychodzi do pracy "odpocząć i zarobić na podatek i wódkę" - to są ich słowa! Śmieją się z nas, robotników. Mówią, że im nie zabraknie jedzenia, "a ty z głodu zdechniesz!" To jest sojusz robotniczo-chłopski... Wybór prezydenta to nic in-

MAREK KUCHCIŃSKI

ZNIECIERPLIWIEŃ I BEZRADNOŚĆ

zmową milczenia. Zaczynaliście urynkowanie kraju od wprowadzania cen licząc absurdalnie na cud, ze różne prywatne zakłady, warsztaty zlikwidowane dawniej nagle się odrodzą, gdzie brak kapitału, brak środków, brak wszystkiego. Liczyliście również na chłopów - nie znacicie mentalności polskiego chłopca? Ziemiaki

nego jak zdrada interesów Polski! Mamy szczególne pretensje do tych, którzy wstrzymali się od głosu albo byli nieobecni na sali. Przekażcie im to! A przy okazji - dlaczego w Sejmie i Senacie na posiedzeniach są pustki? Mniejsze pre-

ciąg dalszy na str. 4

WOJCIECH MIKULA

OD POPOWA DO NAGRODY NOBLA

Trzynastego grudnia 1981 przewodniczący "Solidarności" został zatrzymany, przewieziony do Chylic koło Warszawy i tam, zmęczony wydarzeniami ostatnich dni, zasnął. Po pewnym czasie obudził go funkcjonariusz z Biura Ochrony Rządu by zaspawego poinformować o przyjęździe wicepremiera. Wałęsa - nie do końca rozbudzony - zrozumiał: "Makowskiego", dlatego warknął: "Weź go i zrzuć ze schodów, nie będę z nim rozmawiał". Po przebudzeniu usłyszał od BOR-owca: "Panie Lechu, ale Rakowski był wściekły, jak pieprznął dziwnymi, to mała futryna nie wyleciała".

To zdarzenie opisane w książce "Droga nadziei" w dużej mierze tłumaczy późniejszą, łagodnie mówiąc: rezerwę, z jaką przyszedł premier odnosił się będzie do Związku i jego szefa. Fascynująca to opowieść o życiu i bohatera, i częściowo autora (częściowo, albowiem spisana została przez Jana Mura, którego to nazwisko okazało się być pseudonimem kryjącym dwie osoby - Andrzeja Drzycimskiego i Adama Konaszewskiego), światowy przebój tłumaczony m.in. na francuski, niemie-

cki, angielski, szwedzki i japoński, bestseller stworzony przez kogoś, kto - jak sam powiedział - nie przeczytał w życiu ani jednej książki.

Urodzony w 1943 roku we wsi Popowo koło Dobrzynia doprowadza swoją autobiografię do dnia śmierci księdza Jerzego Popiełuszki zamordowanego przez pracowników MSW późną jesienią 1984. W międzyczasie był pamiętny Sierpień "...straż uważnie sprawdzała przepustki, a ja od lat nie miałem wstępu na Stocznę. Skręciłem w prawo, w stronę pierwszej bramy i tam, między dwiema bramami, koło szkoły, jest gdzieś z boku taka mała uliczka, tam zaszedłem i przeskoczyłem przez mur. Teraz wszystko zależało ode mnie". Potem było kierowanie strajkiem w Stoczni im. Lenina i podpisanie Porozumień Gdańskich. Te wydarzenia uczyniły z niego Przewodniczącego Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego "Solidarność", przyniosły światową sławę, później roczne internowanie w okresie stanu wojennego, wreszcie pokojową nagrodę No-

bla. Dwa miesiące później odbierając w Oslo to wielkie wyróżnienie, jego żona Danuta przeczytała słowa męża: "Droga do jaśniejszej przyszłości wiedzie przez uczciwe godzenie sprzecznych interesów, nie przez nienawiść i krew".

Był też w życiu Lecha Wałęsy epizod przemyski - półroczny okres internowania w ośrodku rządowym Arłamów. Natomiast pani Danuta przeszła wraz z córkami ostrą rewizję w budynku komendy Milicji Obywatelskiej w naszym mieście.

I tak oto prosty elektryk stał się jedną z najbardziej znanych postaci współczesnego świata, "prywatną osobą", do której pielgrzymują ministrowie, premierzy i prezydenci, z którą spotyka się papież. Niezwykła to biografia!

RYSZARD GŁOWACKI

Lech Wałęsa - Droga nadziei, Wydawnictwo Znak, Kraków 1989, wydanie I, nakład 100 000.

- bez jego zgody - kilka pamiątkowych fotografii. Ktoś jednak musiał nas zauważyć, bowiem za chwilę usłyszeliśmy dochodzące z centrum obozowiska pochukiwania, po czym ukazała się pokaźna grupa umundurowanych i nieumundurowanych uzbrojonych żołdatów. Jedynie idący na czele lejtnant podobnie jak wczoraj ubrany w dres biegł bez broni. Marek nie tracąc zimnej krwi, jak przystało na rasowego fotoreportera, zdjęcia robił do końca. Jeżeli o mnie chodzi, to miałem tę zimną krewi zdecydowanie mniej od Marka, albowiem schowałem aparat pod kurtkę rzuciłem się do ucieczki. Markowi aparat został odebrany natychmiast, po czym brutalnie wykręcono mu ręce. Mój aparat przy następnej próbie ucieczki przekazałem starszemu synowi gospodarza, który błyskawicznie zniknął za drzewami. W ten sposób uratowałem przynajmniej część zdjęć. Niestety druga próba ucieczki również się nie powiodła. Skopano nas po plecach i nogach i wykręcono ręce. Ponieważ Sowieci odbezpieczyli broń i prowadzili nas - jak sądziliśmy - w głąb lasu, byliśmy pełni najgorszych przeczuć. Czyżby obawy państwa Zemanów miały przybrać realny kształt? Przed oczyma stanęła mi długa lista skrytobójczych mordów NKWD...

Znów usiłowaliśmy się wyrwać i uciec. Marek uderzył jednego z żołdatów nogą w krocze, ja tyłem głowę w twarz drugiego. Otoczyli nas natychmiast przykładając bagnety do naszych gardeł. Krzyčeliśmy do nich, że to bezprawie, że zostaniemy pomśczeni... Lejtnant kazał się nam zamknąć i z cynicznym uśmiechem powiedział, że zrobią z nami porządek. Przy okazji pochwalili się, że takie porządki robił już w 1968 roku w Czechosłowacji, obiecał też, że Armia Czerwona położy w Polsce kres anarchii. Wszliśmy przy akompaniamencie wrzasków na jakąś zapomnianą, zasypaną zeszłorocznymi liśćmi leśną drogę i w chwilę później znaleźliśmy się na szosie... Tej samej, którą jechaliśmy przed godziną.

Sowieci prowadzili nas pod bronią aż do Słomianki. Tam zatrzymali się przy naszym samochodzie żądając udostępnienia kluczyków. W obecności mieszkańców wsi czuliśmy się zdecydowanie bezpieczniej niż w mrocznym lesie. Po zadziwiająco krótkich targach czerwonoarmieści odstąpili od auta i nic nie mówiąc udali się w stronę swojego obozu. Bardzo nas zaskoczyło zwłaszcza, że jeszcze przy-

chwila zastanawialiśmy się, jaką śmiercią zginie. To dziwne wydarzenie nie osłabiło naszej czujności i po krótkim zastanowieniu rozgryźliśmy szybko fortel (zresztą prymitywny) Sowieców. Zanim wyruszyliśmy wysłaliśmy na zwiały małego chłopczyka na rowerze. Malec wrócił szybko z informacją, że przy wyjeździe na szosę stoją jakieś samochody ustawione w kierunku na Jarosław; jednym z nich był milicyjny maluch. Wypaliliśmy na szosę z prędkością, o której boję się aż pomyśleć. Zanim stojący w białym "Fiacie" SB-cy zdążyli się zorientować, byliśmy już w Roźwienicy. Asom z SB nie przyszło do głowy, że rozszyfrujemy ich manewr i pojedziemy w przeciwnym kierunku. I to na pełnym gazie. Marek nauczył się takiej jazdy podczas trzyletniego pobytu w Londynie...

Nie znając dokładnie Roźwienicy, zaparkowaliśmy za kioskiem GS-u. Pozamykaliśmy wszystko, co się dało i przez ogrody usiłowaliśmy dostać się do domu poznanego dzień wcześniej przeze mnie "partyzanta". Ale w domu go nie było. Natknęliśmy się jedynie na jego biadłującą córkę, której pijany mąż spoczywał w sieni na posadzce. Kobieta w ogóle mnie nie poznała, nie mogliśmy więc na nią liczyć. Poinformowała nas tylko, kto ma w pobliżu telefon. Słuchawkę podniosła pani Zemanowa. Na wieść o naszych kłopotach powiedziała, że to się musiało tak skończyć i że powiadomi od razu MKZ.

Przewidywaliśmy blokadę lub nawet oblężenie. Jazda autobusem nie wchodziła w rachubę. Gdy obmyślaliśmy strategię stojąc pod roźwienickim kościołem, nadjechał trabant. Kierujący nim mężczyzna zabrał nas ze sobą. Siedząc z tyłu za każdym razem chowaliśmy głowy, gdy z naprzeciwka nadjeżdżał jakiś samochód. Postępowaliśmy słusznie, bowiem za chwilę minęła nas popielata SB-cka wołga, za nią radiowóz i dwie nyski oraz karetka pogotowia (sic!). W trakcie jazdy nasz dobroczyńca zapoznał się z naszymi petytami. Wyraziliśmy obawę, że mogą zostać zablokowane drogi.

-Nie ma strachu - odrzekł - blokować będą na Pruchnik, a nie na Jarosław. Do Jarosława dojechalismy w nieco lepszych nastrojach. Tam też rozstaliśmy się - ja pojechałem pociągiem do Przemyśla, Marek do Rzeszowa. Umówiliśmy się jeszcze tego samego dnia o godzinie 22 w Jarosławiu. Marek miał przyjechać w naszym większej grupy przyjaciół i kil-

koma samochodami, aby odzyskać auto pozostawione w Roźwienicy. Ja nie dojechałem, Marek - tak. W jego relacji ciąg dalszy wyglądał następująco.

O 22.00 piętnastoosobowa grupa przyjaciół Marka pojechała trzema samochodami prosto do Roźwienicy. Pojazdy zaparkowali tuż obok kiosku, za którym stał "Polonez". Marek pewnym krokiem podszedł do samochodu. Zrobiło się jasno jak w dzień. Zapaliły się reflektory. Natychmiast wyszedł z ciemności milicjant drogowy. Na jego wezwanie Marek potwierdził, że jest właścicielem "Poloneza" pokazując dowód rejestracyjny. Milicjant oznajmił Markowi, iż jest on podejrzany o potrącenie kobiety z dzieckiem, w związku z czym musi się udać na komendę MO w Jarosławiu w celu złożenia wyjaśnienia.

Pół godziny później byli na miejscu. Do wewnątrz wpuszczono wszystkich. Tymczasem przed gmachem komendy zgromadziła się duża grupa osób, powiadomionych przez panią Zemanową; doszło też sporo przechodniów. W chwili, gdy któryś ze stróżów prawa chciał pogrzebać sobie w bagażniku "Poloneza" tłum groźnie zawarczał. Posypały się epitety oraz niemiłe zapowiedzi, co spowodowało, że "przeszukiwacze" zostali skutecznie zniechęceni i odstąpili od samochodu. Przed komendą zaczęło robić się gorąco... W tym czasie funkcjonariusz usiłował przesłuchać mało rozmownego Bialica. Zabrał mu kilka rolek filmów, zupełnie bezużytecznych (właściwie filmy były już wywołane w Rzeszowie i natychmiast porobiono z nich odbitki). O północy Marek wyjął zaświadczenie lekarskie, w którym wyraźnie było napisane, że najpóźniej o 1-szej w nocy ma się stawić w szpitalu w Rzeszowie w celu poddania się zabiegowi. W godzinę później Bialica wraz z konwojem dojeżdżał do Rzeszowa.

W dniu następnym wysłałem do Reutera i UPI krótką notatkę, w której zawarty był opis naszej wyprawy. Wydarzenia tam przedstawione spotkały się z dużym zainteresowaniem. Ukazała się na ten temat krótka notatka w jednym z czerwcowych numerów AS-a. Region przemyski nie był tym zainteresowany. Jedyne ówczesny rzecznik prasowy przemyskiego RKW Adam Szostkiewicz zainteresował się opisywanymi faktami. Na krótko.

JANUSZ MEYNAKSKI

JÓZEF KURYLAK

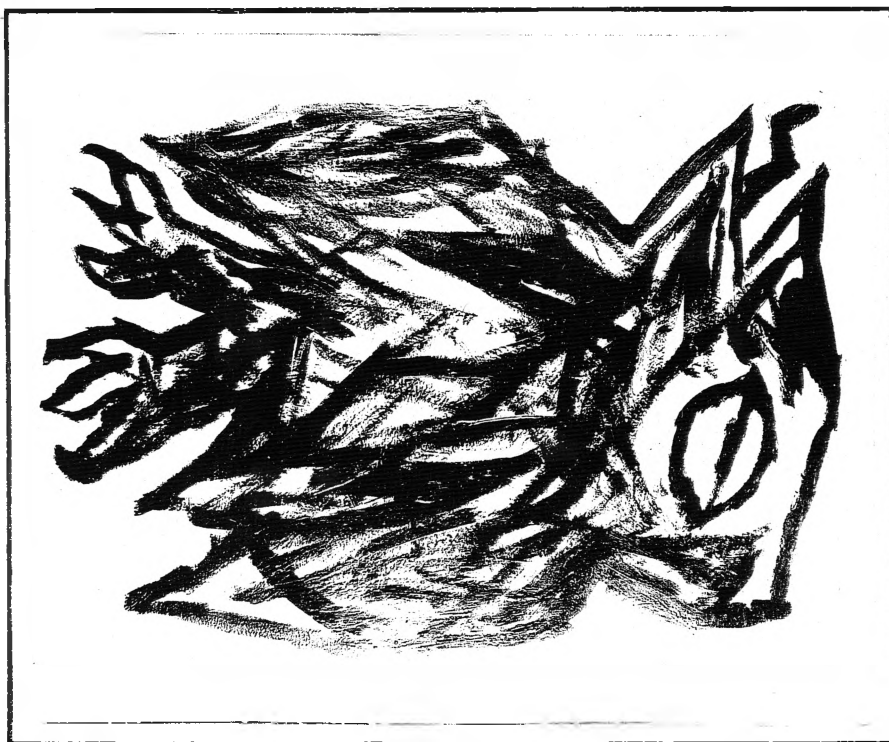
SYTUACJA

SZCZURY

Szczury - może kiedyś pragnęły
Zaprzysiążać się z nami
Może nas kochały skrycie
Lecz tak odrażające budziły wstręt
Gdyż kochamy tylko powierzchowność
Akceptowaną przez zmysły
Minęły tysiąclecia i nic się w nas nie zmieniło
Miłość szczurów wynaturzyła się
I pozostała tylko trucizna w ogonach
I jak przestępcy z błyskiem inteligencji w zrenicach
Ukrywają się w nocy w kanałach w piwnicach

Jak trwać, gdy rozpadają się formy?
Gdy tylko mózg i złe przeczucia emanują w akcie twórczym?
Więc trwać wbrew formie, poza formą,
W ciemnych godzinach mistycyzmu, w boskiej dekadencji?
Lecz w bezkresnej naturze bytu religia wciąż wisi na Krzyżu.
A moje ja nie znajduje argumentów: poezja
Nie jest żywiołem Istnienia. To szaleństwo poetów
Pragnących w słowach odnaleźć szczęście miłości.
Bowiem wiele, wiele hymnów do Madonny
Pożarła w sercu Holderlina hydra melancholii.
Opustoszały kościoły Zachodu. Pisać, pisać, pisać,
Pożerać samego siebie w izolacji klasztornej,
Lub w powiewie obłędu wśród widm na łące upalnej? -

Kultura Śródziemnomorska już utraciła swą moc.
Anielskie chóry Bacha zbliżają nas tylko do absolutu muzyki.
Cywilizacje są kontynuacją platońskiej jaskini i cienia.



Stanisław Koba obraz

ARTUR WILGUCCI

OKRUCHY

Żyję w mieście, w którym życie jest sztuką, a każdy mijający dzień arcydzielnym wydarzeniem. Mam dwadzieścia cztery lata (przeżyłem nie prowadzony na rzeź), mam dyplom magistra polonistyki, ambicje, marzenia, i wiele innych, ciekawszych może, ale jak się okazuje nikomu niepotrzebnych rzeczy - mam.

Coraz częściej natomiast nie mam cierpliwości, aby pokornie przyjmować chociażby takie jak dzisiejszo-sobotnie: deszczowo-jesienne popołudnia w moim mieście, kiedy telefony przyjaciół milczą, a telefony instytucji kulturalnych skrzeczą typowo weekendową chałą lub także milczą metafizycznym milczeniem rzeczy nie istniejących. Kiedy pozostają media mass lansujące, przykładowo, kolejną podwyżkę cen olejów napędowych. Ja wiem, wiem - polityka rzecz ważna. Wszyscy: od robiącego pod siebie niemowlaka po wyczekującego w kolejce emeryta zostaliśmy od niej uzależnieni - skądże by te przedwczesne siwizny i lineatury zmarszczek, ale pozwólcie mi to powiedzieć, tak cichuteczko, chociaż szeptem - może niewielu usłyszy - otóż: czasem chce mi się rzygać polityką. Przepraszam za brzydkie słowo, lecz skoro się pomyślało takim słowem - musi ono pozostać.

Apeluję do włodarzy naszego szacownego grodu: pozwólcie nam czasem być homo apolitykus, ratujcie kulturę, ratujcie nas: prowincjonalnych mieszczan przed zgorzknieniem, dorobkiewiczostwem i nudą, "bo zginie nasz świat" i "nie dostąpic zbawienia - naprawdę..."

Jeszcze tylko parę godzin tej soboty.

JAN JAROSZ

ZADUSZKI

Pierwszego jest bardzo gwarnie. W domu dużo zwykłej krzątania wokół rodziny. Atmosfera prawie radosna. Przecież na niektórych trzeba było czekać cały rok. Jedyna szansa porozmawiać, wspólnie ponarzekać.

Wizyta na cmentarzu nerwowa - pacierz naprędce odmówiony, przerywany rodzinnymi rozmowami. Jeszcze tylko wspólny obiad, pożegnanie braci, kuzynów, wujków.

Dopiero w Dzień Zaduszny wychodzę na własne - samotne spotkanie ze zmarłymi.

Cmentarze już nie tak przeludnione, jaśniej, ciszej, spokojniej. Troskliwe staruszki usuwają wypalone znicze, zeschłe liście. Gdy zapadnie zmrok cmentarz znów będzie się iskrzył tysiącem płomyków. Krzyże, anioły, Chrystus, Matka Boża - czuwający nad zmarłymi zajaśnią złoci- stym rozedrganym światłem tworząc swoisty teatr cieni. W srebrzystych płatkach chryzantem prześwitują zdjęcia tych, którzy odeszli. Daty urodzin i zgonów - najkrótsza kronika życia.

Gdy i przy mojej dacie ktoś postawi krzyżyk, z czym stanę przed Djcem? Czy będę miał co Mu opowiedzieć? Czy pozostanie tylko milczenie?



Fot. Jacek Szwic

„NIE WYOBRAŻAM SOBIE ŻYCIA POZA POLSKĄ”

Z ANDRZEJEM KOPERSKIM
ROZMAWIA ARTUR WILGUCKI

-Minione miesiące były dla Pana czasem niezwykle intensywnej pracy. Oprócz zawodowych obowiązków wybory do Sejmu i Senatu, związane z nimi spotkania, organizacja Komitetu Obywatelskiego "Solidarność" w Przemyślu, a wszystko to wspierane pracą w formacjach katolików świeckich. Nieodparcie nasuwa się pytanie o sposób pogodzenia tak wielu czynności?

-W kwietniu bieżącego roku miałem trochę problemów ze zdrowiem, być może dlatego trudno mi było się uwolnić od sceptycyzmu i pokus bierności. Szczęściem spotkałem wówczas człowieka, którego świadectwo pomogło mi w podjęciu decyzji. Zrozumiałem, że sprawa i czas wymagają postawy czynnej, dlatego chwilowo wszelkie kalkulacje trzeba odstawić na bok, uwolnić się od zbędnych dywagacji i zacząć działać. Kiedy to wszystko się już zaczęło poczułem się wspaniale, poczułem się naprawdę wolny i muszę przyznać, że nigdy nie przeżywałem wolności tak intensywnie jak w ostatnich miesiącach. Działając w prawdzie, chcąc rzeczywiście zrobić coś dobrego, mając jasno określony cel, jasną ideę można znaleźć czas dla każdego i na wszystko.

-Tak więc problem "znalezienia czasu dla każdego i na wszystko" dla Pana nie istniał?

-Sądzę, że w sposób decydujący ów dylemat czasu rozwiązuje odpowiednia hierarchia wartości. Pana pierwsze pytanie nie uwzględniło obowiązków wobec rodziny, a stanowi ona dla mnie, obok religii, wartość nadrzędną. Nie mógłbym zabierać się do reformowania społeczeństwa, gdyby w domu działało się niedobrze. To byłoby jakieś straszne nieporozumienie. Jednakże nawet wtedy, kiedy miałem pracy najwięcej i stosunkowo mało czasu mogłem poświęcać rodzinie, moja żona i dzieci nie mieli do mnie żalu, wręcz przeciwnie, wyczuwaliśmy coś, co nas cudownie łączyło. Obecnie opadły emocje "gorącego lata" - to normalny objaw i w obecnej sytuacji wielce wskazany. Kampania wyborcza przypominała trochę romantyczny zryw, zryw entuzjazmu i nadziei, ale to była tylko jedna, konkretna sprawa, określony cel, który należało osiągnąć. Teraz przyszedł czas na pracę u podstaw, pracę, przede wszystkim, wykonawczą. W tym upatruję szczególnie rolę komitetów obywatelskich, które powinny być otwarte na oddolny ruch inicjatyw społecznych, konkretnych inicjatyw, abyśmy nie zaczęli popełniać starych grzechów, za które obecnie my musimy odpowiedzieć.

-Z wykształcenia jest Pan archeologiem. Zastanawiam się, na jakiej zasadzie podchodzi Pan do problemów religii, rodziny, archeologii, polityki. Czy są to dla Pana hermetycznie odizolowane działy poznania, czy raczej stara się

Pan znaleźć dla nich jakiś wspólny mianownik?

-Dla mnie kimś, kto nadaje sens wszelkim dziedzinom poznania jest człowiek, a jego sensu doszukuję się w relacji Bóg-Człowiek. Przyznam się szczerze - mnie nie interesuje wielka polityka o parta na rozbudowanych teoriach. W moim odczuciu jest ona o tyle wielka, o ile sprowadza się do wymiaru konkretnego człowieka, a więc do wymiaru, który jest mi najbliższy.

-Pozwoli Pan, że zatrzymamy się na chwilę przy temacie Pana pracy zawodowej, gdyż moim zdaniem jest to sfera Pańskiej działalności stosunkowo mało znana, a niewątpliwie dla Przemyśla i jego okolic bardzo interesująca i ważna.

-Archeologia jest popularną dyscypliną naukową w środowisku przemyskim, wspierana badaniami historyków, którzy stworzyli w Przemyślu dość mocny ośrodek. Współczesna archeologia to bardzo wyspecjalizowana dziedzina nauki operująca nieustannie modyfikującą się metodologią, co w nauce jest jednym z warunków postępu. Niestety prowincjonalne ośrodki z przyczyn oczywistych, mam na myśli braki dotacyjne, wypadają z gry i ich rola sprowadza się do zaspokajania doraźnych potrzeb - ochrony zabytków archeologicznych, co nie daje pełnej satysfakcji i możliwości pełnego rozwoju naukowego. Jednakże te niedogodności rekompensuje przebogaty teren, jeden z najbardziej interesujących w Polsce, teren nieustannie zaskakujący rewelacjami, np. odkrycie cmentarzyska z okresu jeszcze przedchrześcijańskiego, dowodzącego o obecności na terenie Przemyśla plemion węgierskich.

-Ojciec Święty w Encyklice "Laborem exercens" dobitnie podkreślił godność ludzkiej pracy, a w szczególności zaś jej osobowościowość i socjologiczny aspekt. Sądzę, że jest to punkt widzenia nie ulegający kwestii, lecz czy nie obawia się Pan, że obecny kryzys ekonomiczny nie pozwoli nam nadać pracy powyższych sensów i praca nadal będzie marnotrawiona, nastawiona jedynie na chorobliwą pogoń za pieniądzem, a wymarzonemu celem znacznej części młodych ludzi będą Stany Zjednoczone Ameryki Północnej.

-Uprawiam dziedzinę dosyć egzotyczną, archeologów jest niewiele, w Przemyślu zaledwie kilku i jak wspominałem ma ona charakter odkrywczy, a to już luksus, to cały sens pracy i satysfakcji. Właśnie ów moment odkrywczy jest czymś, co nieustannie mobilizuje, zachęca i pozwala przetrwać trudne chwile. Pomimo licznych niedogodności w sferze materialnej - wiadomo, jak jest dotowana kultura - nie wyobrażam sobie innej pracy. W archeologii się spełniam. Moim zdaniem encyklika Ojca Świętego podkreśla właśnie te cechy pracy, o których powyżej wspominałem, a więc praca jako źródło sprawiedliwego wynagrodzenia i samorealizacji. Obecna sytuacja gospodarcza, trudności, zrodzi-

ły potrzebę zabezpieczenia bytu materialnego, potrzebę przetradzającą się często w coś bardzo niebezpiecznego. W pewnym momencie zapominamy o zachowaniu granic. Zabezpieczenie mamy, ale już nie potrafimy się zatrzymać, gonimy za dobrami materialnymi i jesteśmy w pułapce, gdzieś zatracamy siebie i w dobrej wierze schodzimy na złe drogi. Być może ów materializm praktyczny zagłuszający wrażliwość i głos sumienia ułatwia ludziom podjęcie decyzji wyjazdu za granicę. Nie chodzi mi przy tym o sentymentalizm, czułość, ale po prostu o pozostanie wiernym sobie. Oczywiście zupełnie inny problem związany jest z tymi, którzy musieli wyjechać z kraju z powodów politycznych. Osobiście nie wyobrażam sobie życia poza Polską, nie wyobrażam sobie nawet takiej ewentualności. Nie potrafiłbym zerwać szczególnie tutaj odczuwanego kontaktu duchowego z tymi, którzy odeszli, z ojcem zmarłym w obozie koncentracyjnym z matką pochowaną na przemyskim cmentarzu.

-Sporo mówiło się w przeszłości i dzisiaj również sporo się mówi o młodych. Czy Pana zdaniem ten problem zostanie znowu przegadany?

-Owieczny problem pokoleniowy przeważnie sprowadza się do następującego aspektu: starzy kierują się poczuciem rozwagi, instynktem obrony przed gwałtownymi zmianami, bo nie mają ku temu odporności psychicznej i fizycznej. W tej rozwadze jest pozytywne przesłanie wynikające z mądrości życiowej, ale bardzo często rozważa przekształca się w blokadę zachowawczą. Młodzież natomiast reprezentuje świeżość myślenia, bez ich impetu nie byłoby żadnego postępu. Tak więc dwie sytuacje kłócące się, ale równocześnie, jak wykazuje cała historia ludzkości, naturalnie łączące się, uzupełniające, słuszne i prawdziwe. Gdybyśmy musieli punktować dałbym jednak ciut więcej punktów młodzieży. Oczywiście wykluczam postawy anarchistyczne i wszystkie postawy oparte na przemocy.

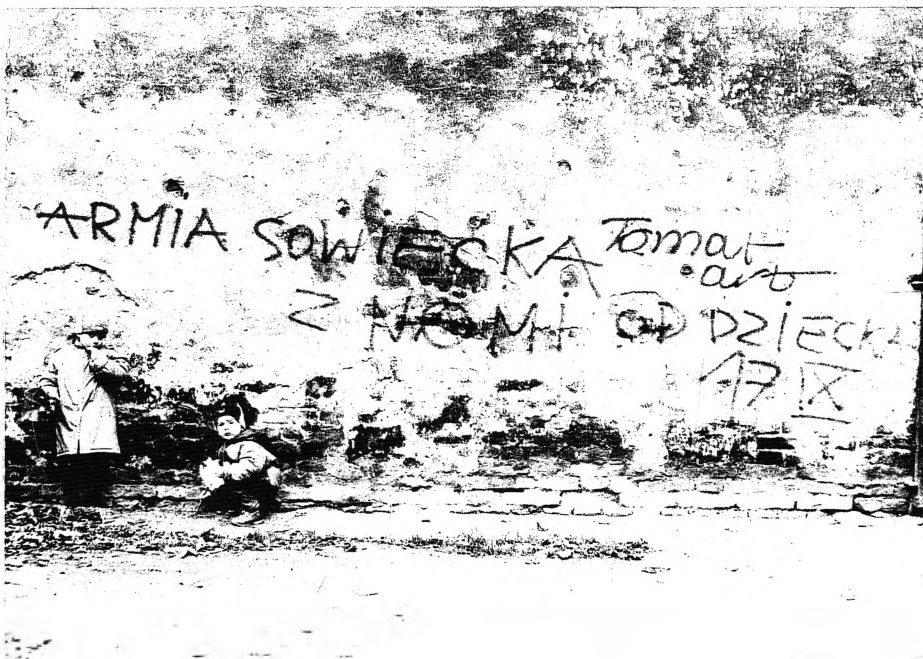
-Zdaje sobie sprawę z trudności wystawiania recept na bolączki naszej rzeczywistości, ich dotkliwość jest aż nadto wyraźna i ekspansywna, ale przecież każdy z nas stara się obronić, obronić swoją prywatność i człowieczą świętość.

-Przepraszam, ale nie podoba mi się słowo prywatność. Zbyt często kamufluje się nim egoizm i lenistwo. Między innymi owa prywatność porwała więzi rodzinne, sąsiedzkie, społeczne. Chcemy chodzić między ludźmi jakby dla siebie i sami. Dla mnie radością życia jest to, że mogę być z ludźmi, rozmawiać z nimi o sobie, o nich, o sprawie, o wszystkim. Proszę zwrócić uwagę na nasz dom, nie zamykają się drzwi. Żadne spotkanie, żadna rozmowa nie jest dla mnie czasem straconym. Żyjąc wśród ludzi i dla ludzi bronię się przed duchowym skostnieniem.

-Jak w kontekście posynodalnej adhor-

SPOJRZENIA PRZEMYSKIE

grudzień
1989



Fot. Jacek Szwic

17 września 1989 roku w Bazylice Katedralnej w Przemyślu o godzinie 11.30 Mszą Świętą koncelebrowaną rozpoczęły się obchody pięćdziesiątej rocznicy napadów wojsk sowieckich na Polskę. W asyście pocztów sztandarowych (m.in. Związku Hallerczyków, Chorągwi Lwowskiej ZHP, Szarych Szeregów ze Lwowa, Komisji Zakładowych NSZZ "Solidarność" regionu przemyskiego) jego eminencja ks. bp Edward Frankowski odprawił Mszę Świętą

W roku 1939 między Rzeczypospolitą Polską a Związkiem Radzieckim obowiązywał dziesięcioletni, dopiero z końcem maja 1945 mający wygasnąć, pakt o nieagresji. W trzecim tygodniu września 1939 roku Polska nadal się broniła. W polu walczyło 25 naszych dywizji, połowa kraju była jeszcze wolna, a na linii Dniestru przygotowywano przyczółek w nadziei, że ruszy ofensywa na froncie zachodnim. Według zapewnień Francuzów 17 września mia-

PIĘĆDZIESIĄT LAT

poświęconą pamięci pomordowanych i zamęczonych Polaków na kresach wschodnich oraz w intencji drohobyczan zebranych w tym dniu na zjeździe w Przemyślu.

Po mszy zebrani przeszli ulicami: Franciszkańską, Słowackiego i Przemyską na cmentarz wojskowy, gdzie staraniem członków Stowarzyszenia Miłośników Lwowa wystawiono krzyż w miejscu przyszłego pomnika ofiar stalinizmu.

Do zebranych przemówił senator ziemi przemyskiej Jar. Musiał:

"Pod krzyżem czcimy dziś pamięć ofiar zdrady i zbrodni, których przątek wyznacza data 17 września 1939r. Pod krzyżem trzeba przebaczać naszym winowajcom. Lecz aby przebaczyć, trzeba najpierw winę poznać i osądzić.

ło się rozpocząć generalne ich uderzenie spoza linii Maginota. Tymczasem tego właśnie dnia o 5.40 wojska sowieckie bez wypowiedzenia wojny uderzyły na Polskę, łamiąc zdradziecko wspomniany pakt. Do niewoli sowieckiej dostało się ponad 200 tysięcy żołnierzy polskich z bronią w rękę, ponieważ zaskoczeni dowódcy polscy, jak generał Juliusz Rómmel, domniemywali, że naszą granicę wschodnią przekraczają jednostki... sojuszników. Oddziałom Armii Czerwonej polecono bowiem nie wiązać się w walki frontalne, lecz oskrzydlać jednostki polskie, otaczać je i likwidować w zamkniętych kotłach. Wśród owych 200 tys. jeńców było 15 tys.

ciąg dalszy na str. 2

Ambicją pisma, którego pierwszy numer oddajemy ku ocenie, jest niezależność. Słowo to dzisiaj nabrało nowych znaczeń. Obecnie każdy przy odrobinie dobrej woli czy charakteru może być niezależny - mało tego - swoją niezależność może manifestować i nie pociągnie to za sobą interwencji sławetnego urzędu.

Pragniemy być nie tylko niezależni, ale także, a może przede wszystkim, sprawiedliwi. Sprawiedliwi wobec tych, dzięki którym możemy zaistnieć, a więc dzięki Komitetowi Obywatelskiemu "Solidarność" w Przemyślu i wobec tych, którzy przez tyle lat trudzili się nad tym, abyśmy zaistnieć nie mogli.

Nie przedstawiamy programu - po pierwsze dlatego, iż nie chcemy ograniczać się żadnym z nich; przyczyną drugą natomiast jest zamiar spontanicznego reagowania na wydarzenia codzienności. O jednym wszakże możemy zapewnić: najważniejszym terenem naszej penetracji będzie Przemyśl, region i problemy jego mieszkańców.

JAN MUSIAŁ

PRZEMYŚL DZISIEJSZY

"Miasta, te ogniska handlu, bogactwa, kultury, oświaty - środowiska międzynarodowej wymiany myśli i dóbr użytecznych" - pisał z emfazą Eugeniusz Kwiatkowski, którego myśl ekonomiczną, polityczną dziś "odkrywamy" po latach.

Czy Przemyśl mógłby świecić przymiotami wymienionymi? Oczywiście - wszystkimi bez wyjątku! Był wszak już ośrodkiem bujnego handlu, kwitła w nim kultura muzyczna, wydawnicza, teatralna. Wykształcił w swoich gimnazjach, seminariach, liceach zastęp niemały sławnych Polaków. Co zrobiono z owymi dokonaniem, z tą zobowiązującą tradycją w ostatnim półwieczu? Jeśli nawet nie zaprzepaszczone z kretelem, to pozwolono, by uwiędły.

Przemyśl dzisiejszy, nadgraniczne, tranzytowe miasto, z niepowtarzalnymi walorami krajobrazowymi powinien tętnić życiem i bogacić się wielorako. Powinien oferować liczne targowiska, a może i targi: sezonowe, stałe. Te otoczyłyby rychło sieć usług handlowych, gastronomicznych, hotelarskich - prosperujących znakomicie, bo zliczyć tylko te setki przejeżdżających od lat mosty na Sanie turystów merkantylnych, z których każdy bez mała mógłby zostawić tu niemały grosz. Miasto bogaciłoby się na nich i stać by je było nawet na kulturalne kaprysy, gdy dziś prosić się musi o dotacje na najniezbędniejszą infrastrukturę.

Nie chcę wypominać niczego onegdajszym czy obecnym gospodarzom miasta. Zmienia się system, który do Niemcy i beczynności tej nas doprowadził. Zmieni się szybciej, a z nim i miasto nasze, jeśli odważnie przełamamy stare nawyki obezwładniającej biurokracji, a podjąwszy uczciwie obywatelskie powinności, otworzymy miastu możliwości rozwoju.

Tylko tyle i aż tyle: otworzymy temu miastu możliwości rozwoju kierując się na początek jedną choćby zasadą: "primum non nocere" (pierwsze nie szkodzić, nie przeszkadzać). Starożytnej to proweniencji zasada, ale też bardzo leciwa okoliczność nas tu zebrała. Pozwólmy się rozwinąć temu starożytnemu miastu tak, jak na to zasługuje.